

Dlaczego należy chodzić na każde referendum?

4 września 2015

Na okoliczność rozpisania na dzień 6 września 2015 roku referendum oraz trwających żywych dyskusji na temat proponowanego referendum na dzień 25 października 2015 roku, w mediach głównego nurtu – nośnikami których są stacje telewizyjne, radia i popularne portale internetowe – zawiązała się nieformalna koalicja wspólnoty celu. Ta wspólnota celu dąży do zdyskredytowania i napiętnowania idei referendum jako takiego, wdrukowania w umysły odbiorców, że te narzędzie demokracji bezpośredniej jest narzędziem „populistów” i używane jako wyraz woli obywatelskiej prowadzi do psucia państwa i roztropnego systemu politycznego. W poniższym piśmie napisanym nie tylko na tą okoliczność, wykażemy że podnoszone larum ma w rzeczywistości charakter ideologiczny i służy zachowaniu istniejącego status quo. Co więcej o knebłowanie inicjatywy referendalnej walczą nie tylko te środowiska, ale nie rzadko również i ci którzy rozpisali bieżące pytania referendalne w sposób wąski, nieprecyzyjny i umożliwiający dowolną interpretację ich wyników. Mimo to w każdym zbliżającym się referendum należy uczestniczyć. Dlaczego?

DEMOKRACJA PRZEDSTAWICIELSKA A DEMOKRACJA BEZPOŚREDNIA

Na początku należy podkreślić, że system polityczno-ustrojowy skonstruowany w Polsce po 1989 roku w klasyfikacji ustrojowej wpisuje się w zakres demokracji przedstawicielskiej. Gdy więc ktoś mówi, że mamy dzisiaj w Polsce demokrację dokonuje wprowadzającego w błąd uproszczenia, a także ujednolicenia pod jednym terminem bardzo odmiennych rozwiązań ustrojowych. System reprezentacyjny zakłada wyłonienie swojego przedstawiciela w personalnym plebiscycie wyborczym: w przyjętej współcześnie praktyce dokonuje się to poprzez

głosowanie na wybranego kandydata w lokalu wyborczym, lub jeszcze bardziej pośrednio, poprzez wskazanie elektora, który w gronie innych elektorów weźmie udział we właściwej selekcji kandydatów. System reprezentacyjny emanacją, którego jest demokracja przedstawicielska zakłada zatem wprowadzanie w życie „woli ludu” poprzez umożliwienie mu wyłonienie swoich posłów, urzędników i notabli, którzy w jego imieniu przez określony ustawowo czas będą stanowili prawo i kształtowali granice tego, co „polityczne”.

Możemy więc powiedzieć, że w ramach systemu demokracji przedstawicielskiej obywatele transferują swoją „wolę polityczną” na określonego kandydata nadając mu „moc decyzyjną” na następne lata, sami zaś zatracając ten przymiot. Obywatel posiada nieskrępowaną możliwość wyboru swojego przedstawiciela przy urnie. Podczas tego aktu przekazuje swoje predyspozycje personalno-polityczne. Po wyłonieniu ciała przedstawicielskiego (parlament, prezydent), to ono będzie uosabiało „wolę ludu”. Pragnąc rozpoznać „wolę ludu” poseł-przedstawiciel nie ma obowiązku nachylać się nad uchem każdego ze swych wyborców, bo od tej pory to on posiada uprawnienia decyzyjne w każdej sprawie i to on poprzez swoje wybory uosabia „zbiorową wolę ludu” z okręgu w którym została ona nań przeniesiona. Jedyną skuteczną procedurą skłaniającą go do posłuchu jest widmo ponownych wyborów personalnych, przewidzianych ustawowo w określonym czasie oraz idących za nimi groźba utraty zaufania swych wyborców, mogąca przełożyć na nie otrzymanie mandatu posła w kolejnym personalnym plebiscycie wyborczym.

W przeciwieństwie do demokracji przedstawicielskiej systemy preferujące bezpośredniość kładą nacisk na aktywizację i rozwój instytucji umożliwiających obywatelom osobiste kształtowanie tego, co „polityczne”. Obraz rozległych plantów, na których w jednym miejscu gromadzi się cały lud i zbiorowo uchwała prawo jest być może wymowny, lecz zaliczyłbym go do osobnej grupy „demokracji wiecowej”. Demokracja bezpośrednia

nie oznacza jedynie wyprowadzenia obywateli z warsztatów, akademii, teatrów i fabryk i utrzymywania ich w bezustannej czujności oraz w rewolucyjnym wymogu permanencji zgromadzeń. Demokracja bezpośrednia realizuje swoją misję poprzez udostępnienie obywatelom narzędzi politycznego działania umożliwiających im czynne, aktywne i realne kształtowanie wydarzeń w sferze społeczno-politycznej. Przekrój i formuła tych narzędzi, zwanych również instytucjami, powinna uwzględniać cały zakres sekwencji wydarzeń, w których obywatel może zechcieć wyrazić swoją wolę lub też zastosować skonkretyzowane rozwiązania ustawowe.

Wśród tych instytucji wymienić możemy przykładowo referendum ustawodawcze, referendum ustawodawcze-korekta, obywatelską inicjatywę ustawodawczą, referendum w sprawie umów międzynarodowych, weto ludowe, inicjatywę ludową w zakresie rewizji konstytucji, odwołanie posła itd. Nie ma tu miejsca na opisywanie każdego z nich. Dodać jednak należy, że kolejnym etapem demokracji bezpośredniej może być poszerzona możliwość personalnych wyborów na kluczowe funkcje społeczne i polityczne jak np. wybór sędziów, prokuratorów i komendantów policji z grona osób odpowiednio do tego przygotowanych i przeszkolonych. Demokracja bezpośrednia znacznie się różnicuje w zależności od tego jakie rozwiązania systemowe przyjmujemy na linii jednostka-społeczność lokalna-zbiorowość ogólna. Jednostka będzie odczuwała osłabienie swojej woli decyzyjnej w Demokracji bezpośredniej opartej na bezwzględnych rządach większości (DBRW), w ramach której wszystkie decyzje będą zapadały na szczeblu zbiorowości ogólnej uosabiającej szczebel władzy centralnej. W Demokracji bezpośredniej opartej na uprawnieniach mniejszości (DBPM) realny wpływ na rzeczywistość jednostki będzie silniejszy poprzez wzmocnienie pozycji społeczności lokalnych. Nastąpi to za sprawą przeniesienia szeregu uprawnień, umożliwiających kształtowanie swojego otoczenia i rzeczywistości, na szczebel lokalny i sub-lokalny, utożsamiany przez samorządność terytorialną, a także z mniejszościami strukturalnymi. Społeczność lokalna będzie

wówczas zabezpieczona przed dyktatem większości, podobnie jak prawa jednostki są zabezpieczone przed dyktatem jakiejkolwiek grupy, lub innej jednostki, za pośrednictwem konstytucyjnych praw człowieka.

Demokracja bezpośrednia nie rezygnuje zupełnie z form demokracji pośredniej unikając dzięki temu wymogu permanencji zgromadzeń, organizacyjnie utrudnionych bądź nierealnych w społeczeństwie złożonym. Demokracja bezpośrednia nie oznacza więc zniesienia parlamentu, lecz raczej uzależnienie trybu jego prac od obywateli, a także możliwość równoległego stanowienia prawa przez zbiorową aktywizację obywateli – przy kontrolowanej asyście parlamentarnych młynów ustawowych lub z ich pominięciem. Taki model demokracji pośredniej, uwzględniający rzeczywistość społeczeństw złożonych z milionów jednostek, nazywamy demokracją półbezpośrednią.

Jak odróżnić demokrację bezpośrednią od przedstawicielskiej we współczesnych czasach, kiedy pod wpływem protestów i nacisków mieszkańców poszczególnych państw niektóre rządy powołują do życia różne instytucje obywatelskiej partycypacji sprawiające wrażenie społecznej emancypacji. Takich wskaźników jest bardzo wiele. Podstawowym pozostaje jednak to na ile deklarowane instytucje społecznej partycypacji rzeczywiście pozostają narzędziami w rękach obywateli, uruchamianymi przez nich samych, a na ile są to ustawowe uprawnienia obieralnych polityków (parlament, prezydent) mogących w dowolnym momencie zastosować je i to w założonym przez siebie zakresie. Kolejnym stopniem weryfikującym ustrojową przynależność danego systemu jest to, czy dane narzędzie partycypacji już wprowadzone w ruch: 1) ma charakter obligatoryjny, a więc czy po przekazaniu swych dyspozycji przez obywateli przekute zostaną one na prawo, czy też 2) ma charakter zdarzenia fakultatywnego, oznajmiającego władzy wykonawczej i ustawodawczej wolę obywateli, ale nie obligującego tych organów do działań zgodnych z kierunkiem wyrażonym przez obywateli.

Uruchamianiu procedur obywatelskich w demokracji bezpośredniej

o wysokiej kulturze prawnej i społecznej nie towarzyszy również narzucanie pytań referendalnych w jednym kształcie przez stronę zgłaszającą wolę przeprowadzenia referendum – inne zainteresowane tym strony, po zebraniu określonej liczby podpisów pod wnioskiem, powinny posiadać możliwość załączenia odpowiedzi opcjonalnej, a wyłonieniu wariantu najbardziej odpowiadającego „woli ludu”, w przypadku zgłoszenia wariantów odpowiedzi w liczbie większej niż „dwa”, towarzyszy głosowanie referendalne na zasadach preferencyjnych zbliżonych do systemu wyborczego STV.

Na opisanie wszystkich różnic między demokracją przedstawicielską, a demokracją bezpośrednią nie ma miejsca w ograniczonym objętościowo tekście. Dlatego na koniec tego wprowadzenia zaakcentujmy pewne zasadnicze rozróżnienie między oboma systemami. W demokracji przedstawicielskiej obywatel pełni rolę wyborcy personalnego wybierającego, najczęściej, raz na kilka lat swojego reprezentanta. Podczas tego procesu głosujący przenosi swoją „moc decyzyjną” na wytypowanego przedstawiciela, tracąc możliwość bezpośredniego, proceduralnie aktywnego, wpływu na rzeczywistość polityczną. Obywatel dokonuje tylko wyboru personalnego, wyłączony jest z możliwości współudziału w podejmowaniu decyzji kierunkowych, faktycznych i merytorycznych. Sformułowane tą drogą ciało przedstawicielskie w teorii demokracji przedstawicielskiej odzwierciedla przekrój dyspozycji społecznych, a demos autentycznie oddziałuje na fakty, poprzez swoich przedstawicieli. W przeciwieństwie do demokracji przedstawicielskiej, demokracja bezpośrednia gwarantuje obywatelom aktywne prawo – nie tylko do podejmowania wyborów personalnych – ale także możliwość współuczestnictwa w formułowaniu i podejmowaniu decyzji kierunkowych i merytorycznych. Biorąc udział w personalnym plebiscycie wyborczym obywatel wybiera swojego reprezentanta, ale nie przenosi na niego całej mocy „decyzyjnej i przedstawicielskiej”, zachowując osobowe prawo czynnego uczestnictwa w formułowaniu i określaniu kształtu prawa i

wydarzeń w sferze polityczno-społecznej poprzez instytucje demokracji bezpośredniej. Dopowiedzieć możemy, że różnice między demokracją bezpośrednią a przedstawicielską, są równie duże, jak między monarchią a demokracją w ogóle.

OBECNY SYSTEM POLITYCZNY W POLSCE. GENEALOGIA I PRAKTYKA

Wspomnienie masowości ruchu solidarnościowego z pierwszej połowy lat 1980. nakazywało oczekiwać przeniesienia tego doświadczenia na praktykę polityczną po roku 1989. Oznaczałoby to przyjęcie szerokich uprawnień partycypacji obywatelskiej w nowym porządku politycznym Polski. Zdjęcia stron rozmów zasiadających przy okrągłym stole, w tym widok Wałęsy i Michnika z wódką w ręku, kojarzyły się co prawda bardziej z zapowiedzią gabinetowego modelu sprawowania władzy, lecz bardzo wiele formujących się wówczas ugrupowań politycznych w swych projektach przyszłej Konstytucji, już za czasów sejmu kontraktowego, opowiadało się za jednoczesnym zastosowaniem „bezpośrednich” rozwiązań ustrojowych. Etos solidarności i rodzącej się demokracji zobowiązywał, nie on jednak, jak zobaczymy, miał zwyciężyć [1].

W latach 1990-1991 mocnego poparcia rozwiązaniom referendalnym udzielało Stronnictwo Demokratyczne (SD). W programie uchwalonym na partyjnym kongresie w kwietniu 1991 roku obwieszczono: „Uznajemy za słuszne częste odwoływanie się do instytucji referendum jako władczej formy wyrażania opinii przez obywateli”. Początkowo bardzo sceptyczne Polskie Stronnictwo Ludowe (PSL) w swym projekcie konstytucji z 1993 roku przewidywało bardzo niski, korzystny dla aktywności społecznej próg 50 tys. podpisów obywateli potrzebnych do przeprowadzenia obywatelskiej inicjatywy ustawodawczej. Trzy lata wcześniej młody Waldemar Pawlak w imieniu PSL zwracał się do izby poselskiej z reprimendą: „ale niechże się władza nie boi swego ludu”. Z końcem 1993 roku w roli obrońcy poszerzenia praw obywatelskich podczas opracowywania Konstytucji wystąpili przedstawiciele Unii Pracy (UP). Domagali się uwzględnienia ludowej inicjatywy ustawodawczej i przeprowadzenia referendum

przedkonstytucyjnego umożliwiającego obywatelom wypowiedzenie się w merytorycznych kwestiach dotyczących poszczególnych ustępów Konstytucji. Stanisław Rogowski z UP mając na myśli swych oponentów w tej sprawie, mówił o „panującym w różnych kręgach przeświadczeniu o wyższości pewnych elit stanowiących o losach państwa i narodu oraz o reszcie społeczeństwa, która powinna z radością przyjmować te płynące z innego wyższego pułapu rozstrzygnięcia”. Wtórował mu jego kolega partyjny, Tomasz Nałęcz, który wzmacniał jego argumentację twierdzeniem, że po wyborach parlamentarnych w 1993 roku (wprowadzono progi wyborcze) sejm nie odzwierciedla podziału socjopolitycznego panującego w polskim społeczeństwie i 1/3 Polaków pozbawiona jest swego przedstawicielstwa. W imieniu Kancelarii Prezydenta Lecha Wałęsy konieczność przyjęcia obywatelskiej inicjatywy ustawodawczej przedstawiał w tym samym czasie Lech Falandysz. Inicjatywę prezydencką poparła Konfederacja Polski Niepodległej (KPN). Leszek Moczulski w jej imieniu przekonywał, że należy „poszerzyć zakres praw obywatelskich” i proponował kilkukrotnie niższy niż inne formacje limit 100 tys. podpisów koniecznych do jej przeprowadzenia.

W pierwszych latach po zmianach po okrągłostołowych wolę daleko idącego udemokratycznienia systemu zgłaszała Socjaldemokracja RP (SdRP) przechrzczona później na Sojusz Lewicy Demokratycznej (SLD). W pierwszych projektach konstytucyjnych SLD deklarowano, że „Naród urzeczywistnia władzę zwierzchnią także poprzez wyrażenie swojej woli w drodze referendum”. Na potwierdzenie tych słów SLD proponował 5 różnych rodzajów referendów uruchamianych w zależności od sytuacji i potrzeb. SLD i KPN były też pierwszymi formacjami, które w początkach III RP postulowały bezpośrednie wybory wójtów, burmistrzów i prezydentów miast. W imieniu SLD konieczność włączenia obywateli w projekt konstytucji przedstawiał, zanim jeszcze został prezydentem, Aleksander Kwaśniewski: „Konstytucja nie może być aktem opracowywanym przez rządzących dla rządzonych. W naszym przekonaniu niezbędne jest to, aby już w fazie prac Komisji Konstytucyjnej

społeczeństwo mogło się wypowiedzieć w sprawie propozycji unormowań dotyczących podstawowych spraw ustrojowych”.

Ten krótki przegląd dostarcza dowodów, że w pierwszych latach po 1989 roku, będących latami pracy nad nową Konstytucją, niektóre formacje obecne na scenie politycznej zakładały włączenie strony obywatelskiej, co najmniej w kwestie pracy nad Konstytucją i w jej zatwierdzenie. Obecność głosów opowiadających się za referendum lub za obywatelską inicjatywą, ustawodawczą lub konstytucyjną, mogłoby wydać się zwiastunem tego, że w klubach politycznych posiadających swoją reprezentację w Sejmie, dojrzewała myśl o autentycznym włączeniu instytucji demokracji bezpośredniej w nowy ustrój państwa. Wszystkich tych wzmianek dokonywano jednak na poziomie programów partyjnych i w czasie wymagających poróżnienia się z oponentem, publicznych dyskusji w komisjach i na posiedzeniach parlamentu. Jak za moment zobaczymy, gdy rozmowy wchodziły w kluczową fazę, lub w momencie głosowań nad poszczególnymi rozwiązaniami, wcześniejsi entuzjaści partycypacji zamieniali się w parlamentarnych konserwatystów opowiadających się za twardą demokracją przedstawicielską, lub też za kontrolą organów władzy nad procedurami obywatelskimi. Wśród czołowych ugrupowań parlamentarnych nie brakowało również takich, które od początku zwalczały jakąkolwiek partycypację.

Pierwszą tego typu partią okazało się Stronnictwo Demokratyczne (SD), które do 1993 roku nie tylko straciło swoją reprezentację w Sejmie, ale i zaczęło forsować projekt konstytucji pomijający partycypację obywatelską. W nowym projekcie Konstytucji z 1993 roku SD opowiadało się za referendum jako instytucją fakultatywną przeprowadzaną w „sprawach szczególnej doniosłości dla Państwa i Narodu”. Głosowanie referendalne miało być ważne jedynie wówczas jeżeli weźmie w nim udział 50% uprawnionych do głosowania. W 1992 roku parlamentarzyści PSL z niechęcią spoglądali na projekty obywatelskiej inicjatywy konstytucyjnej. „Zarówno referendum

na temat Konstytucji jak i możliwość złożenia projektu Konstytucji przez 500 tys. obywateli, jest w sumie zbliżaniem się do prymitywnych form demokracji, kiedy ci, którzy mają się prawu poddać, sami to prawo uchwalają” – deklamował z punktu widzenia „człowieka władzy” Aleksander Bentkowski dodając, że w ówczesnej trudnej sytuacji społeczno-gospodarczej sprawą podstawową dla ludzi jest „dzień powszedni, przysłowiowa kromka chleba”, co oznacza, że propozycja referendum częściowego i inicjatywy obywatelskiej nie spotka się z oczekiwaniami społeczeństwa. Do głosów niezadowolonych dołączyli politycy Unii Pracy (UP) popierający ideę obligatoryjnego referendum przedkonstytucyjnego. Po tym gdy Komisja Nadzwyczajna zmieniła status tego referendum z obligatoryjnego na fakultatywny, niezgodnie z ich intencjami, zaczęli atakować inną instytucję demokracji bezpośredniej, konstytucyjną inicjatywę obywatelską. Janusz Szymański z UP objaśniał z niezadowoleniem, że to „nie obywatele piszą Konstytucję i to nie jest zadanie dla obywatela, żeby przygotowywać projekt jakiegokolwiek ustawy. Zadaniem obywatela jest artykułowanie swoich potrzeb”. Wbrew głosom PSL i UP, jak zauważa Stefan Stępień „nie sprawdziły się obawy, że nie będzie komu skorzystać z prawa inicjatywy ludowej”. Po uchwaleniu takiego prawa przez Sejm opozycja pozaparlamentarna wniosła społeczny projekt Konstytucji sygnowany przez 959 tys. obywateli.

Do jednych z najbardziej zachowawczych i antypartycypacyjnych ugrupowań tego okresu należało Porozumienie Centrum (PC), którego trzon stanowili Jarosław i Lech Kaczyńscy. Andrzej Kern w imieniu tej partii odżegnywał się od obligatoryjnego referendum ratyfikującego Konstytucję, tłumacząc to zmęczeniem społeczeństwa. Zgadzał się z nim jego klubowy kolega, Kazimierz Barczyk, który odrzucał możliwość przeprowadzenia referendum częściowego, przywołując wyniki badań opinii publicznej, jako wystarczające dane pozwalające na zorientowanie się w aktualnym stanie woli obywatelskiej. Jarosławowi Kaczyńskiemu nie podobał się projekt, który

wyszedł z kancelarii prezydenckiej zakładający, że to obywatele stanowią Konstytucję. Bardziej już odpowiadało mu poddanie przygotowanej przez Zgromadzenie Narodowej Konstytucji pod głosowanie referendalne. Mając do wyboru te dwa warianty PC poparło oczywiście ten drugi. Starania o przeforsowanie obywatelskiej procedury uchwalania Konstytucji Jarosław Kaczyński nazwał próbą wmontowania do systemu politycznego Polski demokracji plebiscytarnej i osłabienia pozycji parlamentu przez pozbawienie go funkcji konstytuancy. W dalszych pracach, co do samych zapisów odnośnie zasad rozpisywania referendum w przyszłym porządku konstytucyjnym, politycy PC deklarowali, że „obywatele mają prawo do udziału w sprawach publicznych bezpośrednio lub przez swoich przedstawicieli”, ale nie przekładało się to w żaden sposób na zastosowanie praktyczne. Projekt PC ograniczał zakres tematyczny pytań referendalnych, opowiadał się za progiem frekwencyjnym 50% dla ważności referendum i lansował model referendum fakultatywnego rozpisywanego za sprawą zgodnej uchwały Sejmu i Senatu.

Równie radykalny program supremacji demokracji przedstawicielskiej i pognięcia bezpośrednich form sprawowania rządów posiadały ówczesne ugrupowania przedstawiające siebie jako partie liberalne. Kongres Liberalno-Demokratyczny (KLD) uważał, że obywatelskość powinna realizować się przede wszystkim w wolnej działalności organizacji i stowarzyszeń oddziałujących na władzę państwowe. Po fuzji z Unią Demokratyczną (UD), podchodzącej do tych spraw jeszcze radykalniej, obie partie uformowały Unię Wolności (UW). Unia Demokratyczna przeciwna była ludowej inicjatywie ustawodawczej stanowiącej prawo w tej materii rezerwując dla parlamentu. Prawo rozpisanie referendum oddawała z kolei w ręce Sejmu lub Senatu, który mógł to uczynić na wniosek prezydenta. Trzecią drogą o której wspomina projekt UW/UD to referendum z inicjatywy obywateli, obwarowane jednak zaporową granicą zebrania 2 mln podpisów. Unia Wolności za wzorcowy uważała model demokracji przedstawicielskiej i

walczyła ze wszystkimi przejawami mogącymi stworzyć jakąkolwiek przeciwwagę wobec systemu reprezentacyjnego. Partia w ławach której zasiadał podówczas między innymi Bronisław Geremek i Donald Tusk domagała się nawet skreślenia art. 6 Ustawy o referendum uchwalonej 29 czerwca 1995 roku. Wprowadzał on w życie instytucję referendum fakultatywnego przewidującego możliwość rozpisania plebiscytu przez Sejm na wniosek 500 tys. obywateli. „Uważamy, że to rozwiązanie nie jest słuszne, ponieważ obywatele dysponują swoimi reprezentantami w organach obieralnych w drodze demokratycznej, a więc powinni skorzystać z dobrodziejstw demokracji pośredniej” – uzasadniał stanowisko swojego klubu Tadeusz Zieliński. Unia Wolności podobnie jak Porozumienie Centrum sprzeciwiała się dopuszczeniu obywateli do formowania Konstytucji poprzez referendum częściowe, godząc się jedynie na referendum zatwierdzające. Kazimierz Ujazdowski uzasadniał w jej imieniu, że po wyborach parlamentarnych referendum merytoryczne narzucające konstytuancie treść Ustawy Zasadniczej straciło rację bytu.

O odłożenie jakichkolwiek referendów w sprawie Konstytucji w imieniu Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego (ZChN) apelował Stefan Niesiołowski: „Przede wszystkim nie podoba nam się kwestia obligatoryjnego referendum. Rozumiem wszelkie argumenty, ale sytuacja społeczna i polityczna jest taka, że każde referendum oznacza bardzo niską frekwencję. Myślę, że na kilka lat powinniśmy sobie w ogóle dać spokój z referendum”. Tego samego zdania był Jan Łopuszański. Politycy Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego zapatrywali się negatywnie na rolę referendów, dlatego łatwo było im wejść w konserwatywny sojusz „Przymierza dla Polski” z innymi partiami o tym profilu. W jego ramach pracowano nad alternatywnym modelem Konstytucji. W składzie Komisji „Przymierza dla Polski” znaleźli się m.in. Walerian Piotrowski, Wiesław Chrzanowski, Marek Jurek, Jarosław Kaczyński, Ludwik Dorn, Leszek Piotrowski, Gabriel Janowski, Romuald Szeremietiew i Kazimierz Ujazdowski. Politycy ZChN nie byli miłośnikami kwestii referendalnej,

opowiadali się za to za wzmocnieniem uprawnień i autorytetu prezydenta.

Oględnyimi torami potoczyły się partycypacyjne inspiracje Sojuszu Lewicy Demokratycznej (SLD). Partia której członkowie starali się zasypać swoją autorytatywną, monopartyjną przeszłość z ubiegłego 45-lecia afiszowali się początkowo swoim demokratyzmem wyprzedzając w tym pokazie postsolidarnościowych rywali na scenie politycznej. Gdy jednak przychodziło do opowiedzenia się za poszczególnymi rozstrzygnięciami szło im już to jak po bruździe. SLD oficjalnie popierał inicjatywę ustawodawczą obywateli, ale nie przewidywał takiej instancji w trybie prac nad Konstytucją. Kiedy więc na początku 1994 roku pojawił się wspomniany projekt prezydencki afirmujący te rozwiązanie Jerzy Jaskiernia występujący w imieniu klubu strasznie się motał, a gdy przyszło do głosowania, SLD swymi głosami pogrzebał projekt prezydencki. Jednak już parę miesięcy później SLD wraca do projektu ludowej inicjatywy konstytucyjnej, teraz już bardziej przychylnie bo sygnuje go własnym partyjnym logiem. Jednakże sprzeciwia się progowi 100 tys. podpisów koniecznych do jej przeprowadzenia podnosząc go pięciokrotnie, aż do granicy 500 tys. podpisów.

Jeszcze większą hipokryzję Sojusz Lewicy Demokratycznej zaprezentował wówczas gdy przyszło do przegłosowania ludowej inicjatywy referendalnej. Wcześniej w programie SLD można było wyczytać zapowiedź pięciu różnych referendów. Czołowi przedstawiciele partii zapowiadali uzupełnienie demokracji przedstawicielskiej „elementami demokracji bezpośredniej, jakimi są referendum, inicjatywa ludowa i weto ludowe”. Gdy jednak przychodziło do procedowania poszczególnych rozwiązań, jak zauważa Stefan Stępień „wówczas ich zaufanie do społeczeństwa nagle malało”. Obrazową zdaje się tutaj wypowiedź Ryszarda Grodzickiego, który podczas debaty parlamentarnej nad projektem Ustawy o referendum w imieniu SLD zapowiedział głosowanie za skreśleniem tego artykułu: „Żyjemy

w okresie transformacji politycznej, gospodarczej, ustrojowej. Taka sytuacja powoduje to, że dosyć często pojawiają się u nas w kraju pomysły populistyczne, pomysły na pograniczu awanturnictwa politycznego. Z tego też przede wszystkim powodu klub nasz będzie głosował za przyjęciem wniosku mniejszości nr.1, polegającego na skreśleniu art. 6. W aktualnej sytuacji nawet norma 500 tys. podpisów wydaje się normą nie zabezpieczającą przed takimi pochopnymi decyzjami, a niekiedy przeprowadzanymi wręcz z premedytacją akcjami politycznymi mającymi na celu destabilizowanie sytuacji politycznej. Z tego też względu uważamy, że norma ta będzie mogła być wprowadzona do Ustawy o referendum dopiero wówczas, gdy wejdzie w życie nowa Konstytucja, a i to chyba z pewnymi zastrzeżeniami”.

Spośród istniejących w pierwszych latach po 1989 roku partii, które zdołały wprowadzić swoją reprezentację do parlamentu jedyną, która wyrażała w miarę konsekwentne poparcie dla instytucji demokracji bezpośredniej była Konfederacja Polski Niepodległej (KPN). Co prawda KPN przeciwne było idei częściowego referendum przedkonstytucyjnego, lecz później jako jedyne opowiedziało się za umiejscowieniem w konstytucji obligatoryjnego referendum. Próbę przeforsowania czystej idei demokracji przedstawicielskiej potępiał reprezentujący KPN Krzysztof Kamiński: „ustawa oddaje każdorazowo decyzje o losach prawa w państwie w ręce aktualnie rządzącej koalicji. Jest to jedynie danie społeczeństwu łódów do lizania przez grubą szybę. Jeśli zbierze się odpowiednią liczbę podpisów, 500 tys. obywateli, pod wnioskiem o referendum, Sejm powinien, czyli musi postanowić o poddaniu określonej sprawy pod referendum. To jest demokracja bezpośrednia, która ma równe szanse konstytucyjne jak demokracja pośrednia”. Wniosek, jak wiemy, przepadł.

MORAŁ PŁYNĄCY Z DĄŻEŃ PARTII POLITYCZNYCH I ICH ZAPLECZA INTELEKTUALNEGO PO 1989 ROKU I ICH WPŁYW NA OBECNY USTRÓJ POLITYCZNY POLSKI

Pomimo masowości ruchu solidarnościowego z pierwszej połowy

lat 1980. formacje społeczne i polityczne, które nawiązywały do tej tradycji wcale nie zamierzały po 1989 roku zapisać tego doświadczenia w nowym ustroju politycznym na którego formowanie posiadały wpływ. Wprowadzając swoich posłów do Sejmu i Senatu za pośrednictwem wyborów personalnych będących emanacją systemu przedstawicielskiego, opowiadały się za uczynieniem tego mechanizmu podstawową regułą życia politycznego. Jeżeli nawet wywieszały na swych sztandarach jakieś hasła związane z demokracją bezpośrednią, na ogół robiły to w celach propagandowych, czego egzemplifikacją jest choćby punkt. 2 art 4. obowiązującej Konstytucji z 2 kwietnia 1997 roku, gdzie co prawda czytamy, że naród sprawuje władzę przez swoich przedstawicieli lub bezpośrednio, lecz dalsze regulacje i przyjęta praktyka, czynią z tych instytucji narzędzie usługowe i uruchamiane na osobiste życzenia ciał przedstawicielskich: Sejmu oraz Senatu na wniosek Prezydenta.

Konstytucja z 1997 roku sygnowana pieczęcią Aleksandra Kwaśniewskiego nie przewiduje nadania stronie obywatelskiej prawa do bezpośredniego i merytorycznego udziału w formułowaniu zapisów prawa i sprawowania kontroli nad wydarzeniami w sferze społeczno-politycznej. Obywatele posiadają prawo do złożenia swojego wniosku o przeprowadzenie referendum po zebraniu 500 tys. podpisów, jednakże o jego ostatecznym rozpisaniu decyduje Sejm, który większością głosów w dowolnym momencie może wniosek ten oddalić. Kolejnym ustępem służącym zachowaniu czysto przedstawicielskiego charakteru systemu III RP jest próg frekwencyjny, który czyni referendum ważnym tylko wówczas jeżeli weźmie w nim udział 50% osób uprawnionych do głosowania. Wymóg ten narusza zasadę dobrowolności udziału w życiu publicznym i umożliwia przeciwnikom referendum i poszczególnych pytań unieważnianie ich ważności poprzez celową absencję. Tymczasem doświadczenie demokracji bezpośredniej w Szwajcarii potwierdza, że frekwencja referendalna wynosi zazwyczaj od 28% do 45%, a ogólny przedział frekwencyjny oscyluje w zależności od wagi sprawy dla społeczeństwa od 15% do 60%. Częściowe

zaangażowanie ogółu społeczeństwa w wydarzenia społeczno-polityczne potwierdzają również wybory personalne, które nie są obarczone jednak progiem frekwencyjnym [2].

Fakultatywne referendum, ludowa inicjatywa ustawodawcza procedowana przez Sejm, wprowadzenie progów frekwencyjnych podczas głosowań obywatelskich, a także brak innych form demokracji bezpośredniej, potwierdzają, że obecność partycypacyjnych form sprawowania i kontroli władzy w ustroju III RP ma charakter czysto dekoracyjny, służący uwiarygodnieniu całego systemu i zakamuflowaniu jego wybitnie przedstawicielskich fundamentów.

Z przeprowadzonego zestawienia wynika, że demokracja przedstawicielska w Polsce jest pokłosiem ideologicznych postaw i osobistych motywacji poszczególnych formacji politycznych oraz reprezentujących je polityków. W obecnej Konstytucji dostrzegamy rozwiązania w pełni lub częściowo forsowane w latach 1990. przez Polskie Stronnictwo Ludowe, Unię Pracy, Porozumienie Centrum, Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe, Przymierze dla Polski, Unię Demokratyczną, Unię Wolności i Sojusz Lewicy Demokratycznej. Wszystkie te formacje dążyły do pełnego lub częściowego zawężenia udziału społeczeństwa w bezpośrednim sprawowaniu władzy. W pełni popierały system demokracji przedstawicielskiej i robiły wszystko, aby taki kształt nadać modelowi ustroju mającemu w Polsce obowiązywać przez następne dziesięciolecia. Warto zauważyć, że środowiska związane z Jarosławem Kaczyńskim, które współtworzyły później Prawo i Sprawiedliwość, jak i środowiska bliskie Donaldowi Tuskiowi i Platformie Obywatelskiej, czyli Unia Wolności, Unia Demokratyczna, a nawet niektórzy reprezentanci ZcHN, należały wówczas do ścisłego grona dążącego do umniejszenia elementów społecznej partycypacji lub ich całkowitego wykluczenia. Jarosław Kaczyński przestrzegał przed „wmontowywaniem demokracji plebiscytarnej”, politycy Unii Wolności domagali się natomiast wysokiego pułapu 2 mln podpisów koniecznych do rozpisania

referendum, a później zupełnego wykreślenia takiej prerogatywy.

Jakie przesłanki przemawiały za tym aby poszczególne formacje i politycy popierali właśnie system demokracji przedstawicielskiej? W dużym uproszczeniu motywacje przejawiane przez poszczególnych posłów, mogły przejawiać się następująco: 1) motywacja czynna – niektórzy spośród nich swoją wiedzę na temat ustrojów, polityki i prawa pozyskiwali na uczelniach, w klubach dyskusyjnych i w procesie samooedukacji. Możemy przyjąć więc, że ta grupa posłów swoje motywacje zawdzięczała własnemu przekonaniu politycznym lub ideologicznemu formowaniu. Byli więc demokratami przedstawicielskimi z samej swej istoty i swe idee starali się skodyfikować w nowym ustroju; 2) motywacja bierna – ta grupa posłów nie posiadała wcześniej wyrobionego zdania na tematy ustrojowe, wchodząc do Sejmu z myślą o innych celach politycznych. Podczas dyskusji konstytucyjnych zawierzali zdaniu swoich bardziej ideologicznych w tej materii kolegów i głosowali zgodnie z ich wskazaniem; 3) motywacja negatywna – ta grupa posłów wchodząc do parlamentu szybko przyjęła pozycję „ludzi władzy”. Będąc członkami parlamentu, mając moc stanowienia prawa i piastowania wysokich urzędów, a ponadto posiadając jednocześnie nadzieję na kontynuację tego stanu dzięki przyszłej reelekcji, dążyli do umocnienia pozycji izby, która zapewniała im prestiż i pozycję. W tej sytuacji najracjonalniejszym działaniem z ich punktu widzenia było popieranie rozwiązań podtrzymujących wysoką pozycję ciał ustawodawczych i zabezpieczanie ich prerogatyw przed rozmyciem w pianie partycypacji obywatelskiej.

Doprecyzowaniu wymaga ustęp o ideologicznym formowaniu. Otóż od samego początku nowożytnego wzrastania postaw demokratycznych w Europie, poza małymi wyjątkami, ostawała się wizja demokracji jako systemu reprezentacyjnego w ograniczonym zakresie wykorzystywanego wcześniej lub jednocześnie w ciałach stanowych, w monarchiach konstytucyjnych i w niektórych

systemach republikańsko-cenzusowych. W latach dwudziestych i trzydziestych XX wieku w okresie odradzania się autorytaryzmu rozpoczynali swoją działalność teoretycy demokracji, których poglądy przyczynią się później do ukierunkowania sposobów myślenia o demokracji i wyłonienia szkół propagujących pewien model postrzegania zjawisk w tej sferze. Należeli do nich między nimi Joseph Schumpeter, Giovanni Sartori i Robert Dahl. Przejawiali oni ograniczone zaufanie do demokracji w znaczeniu etymologicznym jako „władzy ludu” i uznawali go za nieprzystający do rzeczywistości złożonych, wielomilionowych społeczeństw ludzkich. Idąc za słowami Schumpetera partycypację obywatelską postrzegali jako możebność wyłonienia swojego przedstawiciela w wyborach powszechnych. Metoda demokratyczna to jego zdaniem: „rozwiązanie instytucjonalne dochodzenia do decyzji politycznych poprzez walkę konkurencyjną o głosy wyborców”.

Przez kolejne dziesięciolecia ich poglądy były ugruntowywane przez ich uczniów. Umacniały je starożytne przestrogi Platona i Arystotelesa – którzy w ogóle potępiali demokracje preferując autorytatywne formy sprawowania władzy – oraz materialny sukces państw Europy Zachodniej i Stanów Zjednoczonych, gdzie akurat system reprezentacyjny dominował. Przekonania te spływały do fundacji, stowarzyszeń i na uczelnie poszczególnych krajów, stając się oficjalną wykładnią rzeczywistości oraz tego jak należy o systemach społeczno-politycznych mówić. Dzisiaj, w okresach przedreferendalnych, zapraszani do studiów telewizyjni goście przedstawiani jako „eksperci” z reguły nie robią nic innego jak dostarczają tylko logicznej wykładni pod utrzymanie i racjonalność obowiązującego systemu. Doświadczenie formowania uniwersyteckiego na wydziałach politologicznych i socjologicznych oraz oficjalna wykładnia rzetelnego ustroju będąca podstawą instytucji, które akurat reprezentują, sprawiają, że osoby te nie zestawiają w oficjalnych dyskusjach wszystkich „za” i „przeciw”, nie przedstawiają całego spektrum rozwiązania jakiegoś problemu jak np. różne modele głosowania

wyborczego jakie można by zastosować, lecz skupiają się na zaakcentowaniu znaczenia instytucji demokracji przedstawicielskiej i na umniejszeniu rangi głosowania referendalnego, które mogłoby dominującą pozycję demokracji przedstawicielskiej pomniejszyć. Występują więc w roli demokratów przedstawicielskich i bywają nimi autentycznie z przekonania. W liczbie kilku osób są też często jedynymi gośćmi w medialnym studiu. Sprawiając wrażenie mnogości stron i światopoglądów przemawiają do odbiorcy tym samym głosem – co służy upowszechnieniu opinii o pewnym zjawisku.

DO CZEGO POTRZEBNE SĄ REFERENDA DEMOKRATOM PRZEDSTAWICIELSKIM, KTÓRYCH STATUTOWYM CELEM JEST SPROWADZENIE CZYNNEJ ROLI OBYWATELA DO UDZIAŁU W PERSONALNYCH GŁOSOWANIACH WYBORCZYCH PRZEPROWADZANYCH RAZ NA KILKA LAT?

Jak wykazaliśmy w drugim rozdziale naszego opracowania, formacje polityczne, które wykreowały się po 1989 roku i sprawowały naprzemiennie rządy w dotychczasowej historii III RP, od samego początku starały się usunąć z treści przyszłej Ustawy Zasadniczej instytucje demokracji bezpośredniej, a gdy zdecydowano się wreszcie na ich wprowadzenie zrobiły wszystko, aby obecność ich miała charakter dekoracyjny i usługowy wobec ich pozycji. Głównym celem jakie sobie obrały przywoływane partie polityczne w kwestiach ustrojowych było nadanie Polsce statusu demokracji przedstawicielskiej, które to zadanie całkowicie osiągnięto. Nie obecność wielu instytucji demokracji bezpośredniej i fakultatywna forma referendum, mogącego upaść nawet po wniesieniu do Sejmu wielu milionów obywatelskich podpisów jest ilustratywnym potwierdzeniem tej tezy.

W obecnym kształcie, w takim jakim je zapisano w Konstytucji z 1997 roku, referendum stanowi narzędzie realizacji doraźnych celów poszczególnych formacji politycznych. Obywatele poprzez zbiorową akcję nie posiadają możliwości samoistnego uruchomienia procedury referendalnej po zebraniu odpowiedniej liczby podpisów. Referendum w żadnym momencie nie ma statusu

instytucji obligatoryjnej. Warunkiem utrzymania korzystnego dla tych formacji systemu demokracji przedstawicielskiej jest zachowanie ograniczonego kształtu referendum – postąpienie inaczej oznaczałoby utratę dominacji klasy rządzącej nad społeczeństwem. Dzięki ustrojowemu ograniczeniu instytucji referendum, politycy rządzących obozów zyskują nie tylko narzędzie realizacji swych doraźnych interesów, ale również zniechęcają stronę obywatelską do instytucji referendum jako takiego; wszakże rzeczą powszechnie wiadomą jest fakt, że w każdej sferze działalności narzędziem nieużytecznym zostanie okrzyknięte te, które dostarczono w stanie niekompletnym, a więc uniemożliwiającym jego praktyczne zastosowanie. Takie przedmioty i instrumenty po prostu się odstawia i z nich nie korzysta. Nie ma się do nich zaufania. Tak jak nie sposób usiąść na krześle bez jednej nogi, tak trudno sięgać po referendum pozbawione swej właściwej substancji składowej.

Po usunięciu jego funkcji demokracji bezpośredniej, w ustroju III RP referendum służy stronie rządzącej za narzędzie realizacji doraźnych celów politycznych. Doskonale ten fakt przejawia się w środkach jakie podjęto w sprawie referendum akcesyjnego do Unii Europejskiej w 2003 roku. Wstąpienie do Unii Europejskiej było ważnym celem kluczowych partii politycznych w parlamencie, popieranym przez znaczną część społeczeństwa. W sprawie tak doniosłej potrzebna była narodowa zgoda, a narzędziem służącym jej potwierdzeniu stało się referendum. Rządzący obóz SLD wiedział jednak, że po celowym uśmierceniu idei referendum w latach 1990. poprzez narzucenie progu frekwencyjnego 50%, teraz te ograniczenie może okazać się nieprzekraczalne. Dlatego chcąc pokonać zasieki, które sam popierał sfinansował zakrojoną na szeroką skalę kampanię proreferendalną i wydłużył czas głosowania do dwóch dni: soboty i niedzieli, uzyskując w całej historii III RP ten jeden, jedyny raz frekwencję referendalną wyższą niż 50%. Zgodność celu prawie wszystkich partii politycznych sprawiła, że niemal jak jeden mąż zachęcały wówczas do wzięcia udziału w referendum – wrzucenie głosu do referendalnej urny miało być

dowodem społecznej odpowiedzialności i dojrzałości. Dzisiaj dla odróżnienia gdy brak zgodności celów w sprawie referendum skierowanych do Senatu przez Bronisława Komorowskiego i Andrzeja Dudę jako objaw obywatelskiej dojrzałości promowany jest bojkot referendum, i robią to często politycy i osoby publiczne, które w każdym innym przypadku zachęcały do udziału w wyborach personalnych – parlamentarnych i prezydenckich.

Nie należy mieć złudzeń. Bronisław Komorowski jako polityk Unii Demokratycznej, Unii Wolności, AWS i Platformy Obywatelskiej zawsze był gorącym zwolennikiem demokracji przedstawicielskiej, w VII. kadencji Sejmu (2011-2015) entuzjastycznie przyjmującym odrzucenie obywatelskich wniosków referendalnych w sprawie sześciolatków, reformy emerytalnej i lasów państwowych. Ogłoszenie referendum przewidzianego na 6 września było z jego strony działaniem propagandowym dokonany tuż po porażce w I rundzie wyborów prezydenckich. Doskonale wiedział, że w obecnym ustroju politycznym referendum do niczego nie zobowiązuje parlamentu, lecz na wypadek celowo (bo chyba nie z powodu niedostatków intelektualnych) pytania odnośnie JOW i finansowania partii politycznych sformułował w taki sposób by izba sejmowa mogła później dowolnie zinterpretować wskazania udzielone przy urnie przez społeczeństwo. Andrzej Duda ze swoją inicjatywą referendalną proponowaną na 25 października jawi się jako prezydent, który podnosi z ziemi odrzucone przez Sejm wnioski obywatelskie. W sensie faktycznym akt ten tak właśnie wygląda i byłoby godnym gdyby mógł zostać przekuty w autentyczne referendum. Sceptycy mają jednak wątpliwości na ile Andrzej Duda robi to po to by zadośćuczynić stronie obywatelskiej, a na ile by sprokurować przedwyborcze starcie z Platformą Obywatelską na linii „słuchający obywateli – nie słuchający obywateli”. Na korzyść intencji Andrzeja Dudy przemawia argument, że ogłosił on również swoje poparcie dla inicjatywy obligatoryjnego referendum. Wszem i wobec deklaruje on niemniej równocześnie, że do rozpisania referendum w jego projekcie potrzebne będzie zebranie aż miliona podpisów!

To bardzo wysoki limit poparcia przypomina forsowany przed laty projekt Unii Wolności zakładający konieczność zebrania dwóch milionów podpisów. Jak pamiętamy, Unia Wolności robiła to po to by zminimalizować prawdopodobieństwo rozpisania referendum na wniosek obywateli, zmierzając do supremacji demokracji przedstawicielskiej. Duda opowiadający się za milionem podpisów zbliża się do tego stanowiska, mając prawdopodobnie świadomość, że taki limit jest w stanie przekroczyć w krótkim czasie tylko aktyw partyjny i organizacja ludzka posiadająca szerokie struktury w terenie. W tej sytuacji referendum stanie się instrumentem zorganizowanych struktur takich jak związki zawodowe, zrzeszenia przedsiębiorców, partie polityczne, w pewnych sytuacjach do zebrania tak wielkiej sumy podpisów może przyczynić się także masowe oburzenie społeczne. W ostateczności będzie to oddanie społeczeństwu instytucji referendum bardzo zdeformowanego, umożliwiającego jego koordynację bardzo określonym grupom. Obecna granica 500 tys. podpisów dla referendum fakultatywnego wydaje się maksymalną granicą w warunkach polskich dla referendum obligatoryjnego, a żeby uspołecznić ten proces należałoby obniżyć ją jeszcze do poziomu 100 tys.-360 tys. podpisów. Widmo bezustannego referendum nie jest zagrożeniem ponieważ dojrzała i mądra decyzja suwerena powinna ustanowić kilka sztywnych terminów w ciągu roku (od 1 do 4), w których odbywałyby się referenda pod które zebrano wymaganą liczbę podpisów.

POLITYK, SOCJOLOG, DZIENNIKARZ, KONSTYTUCJONALISTA – CZYLI W JAKI SPOSÓB W OKRESIE PRZEDREFERENDALNYM GREMIA GŁÓWNEGO NURTU STARAJĄ SIĘ ZNIECHĘCIĆ DO UDZIAŁU W REFERENDUM – I POMNIEJSZYĆ W OCZACH OPINII PUBLICZNEJ ZNACZENIE INSTYTUCJI DEMOKRACJI BEZPOŚREDNIEJ JAKIM SĄ REFERENDA – W CELU ZACHOWANIA NIENARUSZALNEJ POZYCJI DOMINUJĄCEGO USTROJU DEMOKRACJI PRZEDSTAWICIELSKIEJ

Doraźna walka wyborcza i targi polityczne w trakcie kampanii wyborczych w 2015 roku doprowadziły do uruchomienia procedur,

które demokraci przedstawicielscy i kohabitujące z tym systemem partie polityczne III RP w normalnych warunkach usilnie zwalczają, uznając je za szkodliwe dla organizacji państwa i własnych interesów. Rozpisane przez prezydentów referenda nie zostały co prawda wprowadzone w życie w duchu demokracji bezpośredniej – poprzez obligatoryjne wnioski obywateli – lecz samo przywołanie instytucji tak dalece wybudzającej społeczeństwo, stanowi dla systemu reprezentacyjnego niebezpieczny precedens. Ewentualne docenienie przez rzesze obywateli wszechstronnej funkcji referendum może spowodować wzrost poparcia dla bezpośrednich form demokracji i dalsze umacnianie się postulatów żądających zwiększenia partycypacji obywatelskiej, który to trend i tak postępuje co najmniej od 2010 roku. Przeobrażenie ustroju RP z demokracji przedstawicielskiej w demokracją bezpośrednią wraz z jej instytucjami referendum, wet ludowych, inicjatywy ludowej czy możliwości odwołania posła, wytrąciło by inicjatywę polityczną z rąk zorganizowanych struktur partyjnych i wyrosłej na ich korpusie elity życia publicznego, i ze wszystkimi tego konsekwencjami umiejscowiłoby ją – ową inicjatywę – w różnorodnej strukturze ludowej.

Mając świadomość tego, że ewolucja ustroju w tym kierunku oznaczałaby zmianę panującego porządku, utratę synekur oraz podporządkowanie struktur koleżeńsko-partyjnych obywatelskiej kontroli, która przesunęła by rolę czynnych polityków z pozycji władczych na opiniodawcze, na wiele miesięcy i tygodni przed proponowanymi referendum z 6 września i 25 października politycy różnych obozów rozpoczęli kampanię zniesławiania instytucji referendalnych, jako inicjatywy dezorganizującej życie społeczne i mogącej być uruchomionej tylko w szczególnych przypadkach przez roztropnych polityków szanujących zapisy konstytucyjne. W medialnych studiach politycznych zaroilo się od konstytucjonalistów, dziennikarzy, felietonistów i komentatorów politycznych, którzy dość solidarnie opowiadali o tym jak wielką krzywdę zrobiono demokracji polskiej rozpisując „populistyczne” referenda. Ci

którzy krytykowali kształt zadanych pytań, z reguły nie dodawali że referenda mogą mieć pozytywny kształt na życie polityczne, jeśli tylko np. udemokratyczni się proces ich formułowania. Z każdej takiej medialnej dyskusji i pogadanki wysyłało sygnał do odbiorców obwieszczający, że referenda to groźny środek, mogący być dawkowy tylko w wyjątkowych okolicznościach i w ograniczonym zakresie. Dziennikarze i ludzie mediów realizujący poszczególne programy unikali zapraszania ludzi reprezentujących zgoła odmienne stanowisko.

Szeroką rzeszę krytyków referendum w tym okresie można podzielić na poszczególne grupy: 1) zdeklarowani ideologiczni i naukowci zwolennicy demokracji przedstawicielskiej, którzy w drodze swojej formacji nabyli szczere przekonanie, co do tego, że to w systemie reprezentacyjnym realizuje się interes obywatelski; 2) zwolennicy autorytatywnych form sprawowania władzy posiadający obniżone zaufanie, co do „żywołu ludowego” przeciwstawiając mu roztropny elitaryzm klas rządzących; 3) osoby, które swoją karierę w sposób pośredni lub bezpośredni budowały w okresie ostatniego dwudziestowiecia własne funkcje w sądownictwie, prasie, sejmie bądź na salonach zawdzięczając pośrednio, uformowanym relacjom społeczno-politycznym. Będąc ich beneficjentami bronią kształtu sceny pod egidą których budowali swój życiowy kapitał; 4) osoby zaangażowane w bieżącą walkę polityczną i atakujące wszystkie te rozwiązania, które mogą pokrzyżować ich krótkoterminowe lub długoterminowe cele polityczne; 5) przeciwnicy któregoś z rozwiązań o które zapytano w referendum, chcący oddalić jego widmo np. poprzez bojkot; 6) ludzie zaangażowani w walkę partyjną, krytykujący prawie wszystkie rozwiązania wychodzące z przeciwległego obozu. To tylko kilka z możliwych motywacji, które w niektórych przypadkach mogą się na siebie nakładać lub sobie jednocześnie towarzyszyć. Jak te postawy realizowały się w zachowaniu poszczególnych osób?

Ikona ideologiczną dla delegalizacji sensu referendum w tych dniach stał się – dla przedstawicieli głównego nurtu sceny

politycznej i zwolenników twardej linii demokracji przedstawicielskiej – były prezes Trybunału Konstytucyjnego, Andrzej Zoll. Na różnych etapach swojej kariery pośrednio związany z Solidarnością, AWS i Platformą Obywatelską, konstytucjonalista i profesor, mówił o swoim rozczarowaniu decyzją obu prezydentów i zlekceważeniu przez nich zapisów Konstytucji. Konstytucja z 1997 roku, jak przekonywał, uzasadnia rozpisanie referendum tylko w sprawach szczególnie ważnych dla państwa, a mówił to sprowadzając definicję państwa do jego instytucjonalnej nadbudowy, z pominięciem ciała społecznego. „Zaczynamy się referendum bawić, i to jest zabawa polityczna. To może doprowadzić do zniszczenia tych resztek kultury politycznej którą mamy, i do bardzo znacznego wykrzywienia wyników wyborów ” – ostrzegał Zoll, dając do zrozumienia, że złotą zasadą resztek kultury politycznej jest trzymanie się jej przedstawicielskich fundamentów [3]. „Nie idźmy tą drogą” – wzywał przestrzegając przed pójściem w kierunku demokracji bezpośredniej. W podobny sposób wypowiedział się inny konstytucjonalista Ryszard Piotrowski, który prezentując mniej zachowawcze stanowisko niż Zoll przyznał jednak, że nie uważa aby konieczność obniżenia progu referendalnego poniżej 50% była konieczna. Zarówno Zoll i Piotrowski oficjalnie w mediach zapowiedzieli, że na referendum nie pójda.

Marszałek Sejmu Małgorzata Kidawa-Błońska i Marszałek Senatu Bogdan Borusewicz z Platformy Obywatelskiej po tym gdy prezydent Andrzej Duda zapowiedział rozpisanie drugiego referendum zareagowali zupełnie inaczej niż na wcześniejsze obwieszczenie ich politycznego partnera prezydenta Bronisława Komorowskiego. „Ja bym nie chciała, żebyśmy robili referendum za referendum. Prezydent Komorowski przygotowując referendum włożył do niego pytania, tematy, którymi zajmowali się jego kontrkandydaci, natomiast prezydent Duda wybrał pytania dotyczące programu wyborczego jednej partii politycznej. My psujemy system polityczny, system demokratyczny w Polsce, i chciałabym żebyśmy zajęli się wyborami parlamentarnymi,

dbaniem o demokrację, a nie ściganiem się, kto i ile pytań doda jeszcze do tego referendum, bo za chwilę Polacy nie będą w ogóle wiedzieli, o co nam chodzi” – argumentowała swoje stanowisko Kidawa-Błońska w rozmowie z dziennikarzami [4]. W wypowiedzi Kidawy-Błońskiej warto zwrócić uwagę na trzy aspekty: 1) referendum Komorowskiego miało słabszą legitymację prawną niż te rozpisane przez Dudę, ponieważ tematy do których odniósł się Duda zostały wcześniej wniesione do Sejmu przez stronę obywatelską po zebraniu wymaganych prawnie 500 tys. podpisów obywateli RP; 2) pytania Komorowskiego nie były bardziej precyzyjne aniżeli Dudy, co sugerował Borusewicz zapowiadając pośrednio obalenie wniosku Dudy w Senacie; 3) podejście polityków Platformy Obywatelskiej do opisaney kwestii potwierdza, że pojawienie się tematu referendum w sferze publicznej jest dla nich sprawą kłopotliwą i starają się wykorzystać je do bieżącej walki politycznej. Podobnie rzecz ma się z drugą stroną sceny politycznej (PIS-Zjednoczona Prawica), gdzie swój nie udział w referendum z 6 września zapowiedział już m.in. Zbigniew Ziobro.

Warto zauważyć inną narrację, która obok kwestii konstytucyjnych towarzyszy próbom demonizowania referendum. Jest nią przede wszystkim „nieodpowiedzialność ludu”, który zdaniem rządów konserwatywno-zachowawczych oraz liberalno-parlamentarnych jest niedouczoną i roszczeniową masą, która posiadane uprawnienie referendalne, gdyby tylko mogła, wykorzystałaby do rozsądzania budżetu państwa, a sugerują to, lekceważąc podnoszoną przez demokratów bezpośrednią zasadę „równowagi budżetowej” i wielobiegunowość pytań. Jeremi Mordasiewicz z Konfederacji Lewiatan w rozmowie przedreferendalnej sugerował, że „gdybyśmy zapytali, czy podatki należy obniżyć, to zdecydowana większość odpowiedziałaby: tak, chcemy obniżenia podatków, a wiemy, że połowa Polaków chce z jednej strony obniżenia podatków, a z drugiej zwiększenia świadczeń społecznych” [5]. Senat przedstawiany jest często jako „izba namysłu”, gdy jednak na przełomie sierpnia i września 2015 roku rozpoczęły się rozmowy

w sprawie referendum planowanego na 25 października, oponujący przeciw niemu senatorowie Platformy Obywatelskiej, powtarzali tylko strzępy poglądów antyreferendalnych artykułowanych powszechnie w mediach informacyjnych. Senator Edmund Wittbrodt na przykład, powtarzał argumenty Andrzeja Zolla przywołując jego nazwisko, z drugiej strony pomniejszał sens referendów ludowych sugerując, że „Polacy chcą mieć dwukrotnie większe wynagrodzenie” i tak też by zagłosowali w referendum gdyby zaserwowano im takie pytanie [6].

Przeciwnikami odwoływania się do opinii publicznej za pośrednictwem referendów okazali się również politycy Polskiego Stronnictwa Ludowego i Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Włodzimierz Czarzasty z SLD zaklinał rzeczywistość: *„Nie chciałbym, żeby to zabrzmiało źle, bo lewica nigdy nie była przeciwko referendum i udziałowi obywateli w sprawowaniu władzy, w sugerowaniu różnych rozwiązań, bo to jest bardzo ważne. Ale w tym wypadku powinniśmy sobie zadać pytanie kto na tym referendum wygra, a kto przegra”* [7]. W te same tony uderzał Dariusz Joński i Leszek Miler, któremu przytakiwał w rozmowie, wyrażając swoją opinię, dziennikarz Polsatu, Jarosław Gugała. Postawa obu partii jako formacji które walczyły o obecny kształt systemu w latach 1990. jest znamieny. Dlatego zapowiadający bojkot referendum w imieniu PSL, Janusz Piechociński i Władysław Kosiniak-Kamysz, oraz wzywający jednocześnie do przekazania kwoty równej kosztom referendum na walkę z suszą, podobnie jak SLD, maskują tak naprawdę cel nadrzędny obu partii jakim jest zachowanie funkcjonującego systemu w niezmiennym kształcie. Jednomandatowe okręgi wyborcze, zmiana finansowania partii politycznych, a także umacnianie się elementów demokracji bezpośredniej *mogłoby doprowadzić do częściowej dekompozycji tych formacji politycznych.*

Swój związek z aktualnym systemem politycznym w obliczu rozpisania referendów dość klarownie ujawniło wielu dziennikarzy, lubiących przypisywać sobie często rolę jedynie

komentatorów i obserwatorów życia publicznego. „Zadawanie tego rodzaju pytań milionom obywateli uważam za nieprzystojne, zawracanie głowy i szkodliwe dla demokracji zamulanie debaty publicznej” – oznajmił Jacek Żakowski, który już wcześniej publicznie opowiadał się przeciwko demokracji bezpośredniej [8]. Dla niego demokracja oznacza demokrację przedstawicielską, natomiast aktywna rola obywateli powinna się przejawiać w masowej przynależności do ugrupowań politycznych, związków zawodowych i stowarzyszeń: „Lubię gorącą demokrację. Czyli taką, w której obywatele spierają się, angażują, organizują, żądają, protestują, manifestują, masowo kandydują oraz, oczywiście, powszechnie głosują” – tłumaczył i namawiał wszystkich aby 6 września zbiorowo udali się na grzyby. Był to jego protest przeciwko robieniu z „demokracji małpiarni”. Negatywne stanowisko w stosunku do umacniania instytucji referendum w polskim porządku prawnym umacniali również odwiedzając różne medialne programy, tak odmiennie wydawałoby się zorientowani względem siebie dziennikarze jak Piotr Gursztyn z „Do Rzeczy” oraz Sławomir Sierakowski z „Krytyki Politycznej”. Obydwoje odcinali się od referendum jako narzędzia walki politycznej i deklarowali, że udziału w planowanych referendach nie wezmą. Sierakowski wraz z Renatą Kim z Newsweeka w programie „Łoża Prasowa” całkiem świadomie próbował zamazać historię rozpisania referendum w sprawie sześciolatków, dowodząc, że jest to projekt polityczny PiS [9].

Przed każdymi personalnymi wyborami do parlamentu, przed wyborami samorządowymi oraz przed wyborami na urząd Prezydenta RP, politycy, socjologowie, politolodzy, dziennikarze a nawet reprezentanci związków religijnych, odkąd sięgnąć pamięcią, zawsze zachęcali do brania w nich udziału. Jak zauważyliśmy już wcześniej w tym piśmie, w przypadku referendum jeżeli nie służy to jakimś konkretnym interesom, wykorzystuje się opornik 50% progu frekwencyjnego, co prowadzi do tego, że obserwujemy tendencje odmienną. „Smutną konsekwencją tych polityczno-referendalnych zabiegów będzie kuriozalna frekwencja 6

września i podkopanie wiary i sympatii dla instytucji referendum. A szkoda. Bo kiedyś można by ją jeszcze, sensownie, wykorzystać” – wieścił Konrad Piasecki znany z autorskiego programu na TVN24. „Przewiduję, że referendum będzie nieważne z powodu niskiej frekwencji. I dobrze” – zapowiadała z kolei Magdalena Środa, profesor, filozof i minister w rządach Sojuszu Lewicy Demokratycznej, wyraźnie sympatyzująca z takim prawdopodobieństwem [10]. Tym podobne zapowiedzi w tych środowiskach są powszechne. Jeszcze więc przed referendum powstał nieformalny front obniżania zaufania do tej instytucji, zniechęcania do brania w niej udziału i próby determinowania wydarzeń społecznych poprzez masową obojętność wobec możliwości podjęcia decyzji o znamieniu merytorycznym przy urnie. Jest rzeczą wiadomą i oczywistą, wynikającą z doświadczeń choćby systemu referendalnego w Szwajcarii i wszystkich referendum w Polsce po 1990 roku, z których nawet Konstytucyjne w 1997 roku osiągnęło mniejszą niż 43% frekwencję, że także te nie dopnie granicy 50%. Tuż po 6 września przez kilka kolejnych dni te same środowiska, które zachęcały do bojkotowania referendum, wychodząc często z doktrynalnych pozycji systemu reprezentacyjnego, będą starały się interpretować, to do czego usilnie namawiały jako czerwoną kartkę ze strony „zwykłych Polaków dla tego typu rozstrzygania sporów politycznych”.

Przyjrzyjmy się jeszcze jednemu typowi postawie negującej wartość podejmowania decyzji za pośrednictwem referendum, która zaznaczyła się po tym gdy widmo dwóch referendum na przestrzeni września i października zaczęło się urealniać.

„Hucpa!” – krzyczał na swoim blogu Jan Hartman, ideologicznie i politycznie blisko zorientowany wspomnianej przed momentem Magdaleny Środy. „Podłość tego hucpiarskiego pomysłu musi zostać obnażona solidarnie przez dziennikarzy i polityków wszystkich partii demokratycznych. Niezbędne są również wypowiedzi konstytucjonalistów i autorytetów społecznych. Nie możemy tego odpuścić! Manipulacje środkami demokracji

bezpośredniej, jak to wiadomo już od starożytności, są jednym z najskuteczniejszych sposobów niszczenia demokracji i budowania pseudodemokratycznej dyktatury” – argumentował [11]. Cezary Michalski z Newsweeka w artykule „Referendalne oszustwo Kaczyńskiego i Dudy” ogłosił, że „referenda powinny być używane do rozstrzygania podstawowych decyzji ustrojowych” i chcąc skompromitować instytucje referendum przypomniał, że to właśnie Adolf Hitler „zaczął organizować referenda, kiedy już zniszczył demokrację w Niemczech. Nie używał ich po to, aby tę demokrację odbudować, ale po to, by ją ostatecznie i w swoim rozumieniu na zawsze pogrzebać” [12]. Tą samą argumentację podjął Wojciech Przybylski – redaktor naczelny Res Publici Nowej, załączając do swego artykułu dodatkowo „Krótki kalendarz referendalnych wpadek”, mający udowodnić, że referenda z samej swej istoty są narzędziami manipulacji tłumem, a ich wyniki do niczego polityków nie zobowiązują, jak tylko służą usankcjonowaniu swoich celów [13].

Pozorny racjonalizm drogi objętej przez Hartmana, Przybylskiego i Michalskiego wyraża się w odwołaniu do sankcji historycznej i politologicznej. Przywołanie konkretnych przykładów noszących znamiona faktów zapisanych w procesie dziejowym, ma uzasadnić negatywność opisanego przez nich zjawiska. W potwierdzeniu, że posługiwanie się referendumi służy rozkładowi życia politycznego, niszczeniu demokracji i wywoływaniu ekstremalnych sytuacji w życiu publicznym. Wiele wskazuje jednak na to, że żadnemu z tych panów nie zależało tak naprawdę na rzetelnym opisanie zjawiska, co na wyrwaniu z kontekstu pewnej korzystnej dla siebie sekwencji wydarzeń, celem zdobycia logicznej amunicji dla potwierdzenia negatywnej funkcji referendum w doraźnej walce na polskiej scenie politycznej.

Odwołanie się przez Jana Hartmana do „manipulowania środkami demokracji bezpośrednio w starożytności” jest zagrywką teatralną, ponieważ wie on doskonale, że nawet w Atenach gdzie zbudowano pewne modelowe instytucje systemu bezpośredniego

będących podwaliną tzw. „demokracji ateńskiej” nie istniała rzeczywista demokracja. Owszem, istniał pewien szkielet lecz olbrzymie rzesze społeczne były instytucjonalnie wyłączone i pozbawione praw wyborczych, począwszy od kobiet, a skończywszy na niewolnikach, którzy nie mogli przegłosować stanu swojego położenia. Podstawową funkcją demokracji bezpośredniej nie jest stosowanie tylko twardego „prawa większości”, ale również obrona prawa jednostki do realizowania swoich praw politycznych i naturalnych. Upomina się o to cała teoria demokracji i wolności jednostki kodyfikowana w konstytucyjnych prawach człowieka. Podobnie rzecz ma się z argumentacją Michalskiego i Przybylskiego, którzy pośrednio nawołując do porzucenia grząskiego gruntu referendum i powrotu do bezpiecznych ram stanowienia prawa przez Sejm i Parlament, nie zastanawiają się zupełnie, czym demokracja jest, a czym nie jest. Tymczasem jeden z głównych XX-wiecznych teoretyków demokracji przedstawicielskiej i demokracji w ogóle, Giovanni Sartori zastanawiając się nad tym problemem doszedł do wniosku i wykazał, że fenomen systemu demokratycznego zasadza się na zdolności przeistaczania się mniejszości w większości oraz większości w mniejszości. System demokratyczny sprzężony jest zatem z instytucjami, które zapobiegają trwałemu dominowaniu określonej grupy nad pozostałymi. Sam fakt możliwości przejęcia przez Adolfa Hitlera władzy dyktatorskiej w Niemczech oznaczał więc, że system panujący w Niemczech w dwudziestoleciu międzywojennym nie posiadał wszystkich demokratycznych sprzężyn umożliwiających amortyzację zapędów grup nadmiar ambitnych. System polityczny w organa którego wprzęgnięto rozwiązania umożliwiające zniesienie jego demokratyczności, tak naprawdę nie jest demokracją, co jedynie systemem w którym wykorzystano pewien szkielet demokratyczny. Referendum w rękach Hitlera nie było demokratycznym narzędziem realizacji praw społeczeństwa i obywatela, co martwym kikutem umożliwiającym sankcjonowanie poruczeń dyktatora w kraju niedemokratycznym, jak zauważył sam Michalski.

Gdyby więc Hartmanowi, Przybylskiemu i Michalskiemu zależałoby

rzeczywiście na obronie zasad zdrowego systemu, zamiast krytykować referendum jako takie, przystąpili by raczej do diagnozowania systemu politycznego Polski takim jakim on jest obecnie, w celu wychwycenia tych jego zniekształceń, które pozbawiają go statusu demokracji niezbywalnej, nie obalalnej w obliczu zastosowania „siły” fizycznej lub dowolnej wykładni proceduralnej. Domagaliby się raczej wzmocnienia instytucji referendum, tak by rzeczywiście było ono umocowane w praktyce demokratycznej, a nie znajdowało się tak jak to ma miejsce od lat 1990. do dziś w orbicie narzędzi znajdujących się na wyposażeniu Sejmu, Senatu i Prezydenta, czyli funkcji obsadzanych na drodze doraźnej walki międzypartyjnej. Takiej woli jednak ze strony ich nie ma ponieważ, podobnie jak wcześniej przytoczone przykłady, ten tercet nie zabiega o reformę i o otwarcie na oścież drzwi parlamentu, a właśnie o utrzymanie obowiązującego systemu demokracji przedstawicielskiej, której referendum w jej surowym kształcie jest instrumentem obcym.

DLACZEGO NALEŻY PÓJŚĆ NA REFERENDUM?

Gdy zaczynałem pisać ten artykuł przewidywałem, że zdołam wyłożyć wszystko, co zamierzałem na 3 kartkach A4, praktyka pokazała jednak, że by opisać wszystkie zjawiska i ich genealogię towarzyszącą okresowi przedreferendalnemu w Polsce w 2015 roku, będzie potrzebna przestrzeń pięciokrotnie dłuższa. Wymagała tego rzetelność wobec faktów, wobec czytelnika, a także wobec samego siebie. Przedstawiona treść, jak sądzę, dostarcza całkowitej odpowiedzi na postawione pytanie w tytule ostatniego rozdziału tego opracowania. Mając na względzie tych, którzy przerwali jego lekturę w którymś, z jego fragmentów, by spojrzeć na sam jego koniec przedstawiam krótkie podsumowanie.

Dlaczego więc należy iść na referendum i oddać głos?

1. To prawda, że żadna z etatowych już dziś parlamentarnych partii politycznych nigdy nie zamierzała rozpisywać

referendum, jeśli nie będzie to służyło jej interesom. Jak wykazaliśmy w drugim rozdziale tej pracy wszystkie formacje polityczne, z których wywodzą się czołowi retorowie partyjni ostatniego dwudziestopięciolecia – w tym Donald Tusk, Jarosław Kaczyński, Leszek Miller, Waldemar Pawlak itd. – dążyły od lat 1990. do ograniczenia ustrojowego znaczenia instytucji demokracji bezpośredniej i nadania III RP ustrojowego kształtu demokracji przedstawicielskiej. Polska w jakiej żyjemy od ćwierć wieku jest systemowo ustrojem wybitnie reprezentacyjnym, w którym udział obywateli proceduralnie zawężono do rozpisywanych raz na cztery lata przedstawicielskich wyborów personalnych. Oznacza to, że referendum takim jakim je mamy obecnie ma charakter instytucji fakultatywnej uruchamianej za zgodą i na doraźne życzenie przedstawicieli/a i może być narzędziem walki politycznej.

2. Jest więc rzeczą prawdopodobną, że masz sporo racji w tym gdy oburzasz się widząc jak Bronisław Komorowski i Andrzej Duda rozpisują sobie referenda nie konsultując treści pytań z obywatelami. A może są grupy społeczne, które chciałyby załączyć do pytań swój wariant odpowiedzi? To jednak tych polityków nie interesuje, ponieważ dla nich referendum ma charakter narzędzia funkcyjnego służącego w dużej mierze realizowaniu ich celów politycznych w ramach demokracji przedstawicielskiej. Nie wykluczone, że ktoś z nich miał szczytne intencje, we własnym poczuciu, nie zmienia to faktu, że obywatele i tak staną przed faktem dokonanym i przez nich nie sformułowanym.

3. Kwestia finansowania partii z budżetu państwa, ordynacji wyborczej czy lasów państwowych, jak zauważyłeś, sieją ferment wśród niektórych środowisk politycznych i publicystycznych. To prawda, zmiana systemu wyborczego na inny niż ten obecny, wytrąci ich z dotychczasowych pozycji i nie wykluczone, że nowe reguły selekcji wyborczej zmuszą kolejne składy parlamentarne do bardziej zdyscyplinowanej pracy, będą jednak i tacy, którzy na zmianie reguł gry wyborczej skorzystają.

Zmiana systemu wyborczego nie zmieni jednak samego systemu reprezentacyjnego, który wielu demokratom przedstawicielskim pozwoli, gdy staną się posłami, kreować wydarzenia na scenie politycznej poza merytorycznymi instrukcjami wyborców. Jednomandatowe Okręgi Wyborcze, czy w ogóle zmiana systemu wyborczego np. na STV jest ważna i powinna nas mobilizować...

4. ...Ale jak z pewnością zauważyłeś czytając choćby zestawienie faktów w tym opracowaniu, największy ferment wśród czynnych posłów, publicystów i praktyków związanych z koncepcyjnymi ramami współczesnej sceny politycznej wywołuje temat referendum jako takich. Nie dlatego, że są one niebezpieczne, nie praktyczne, ale dlatego, że stanowią one instytucje wywodzącą się z zupełnie innego ustroju politycznego. Instytucja referendum w demokracji przedstawicielskiej jest niepełna, ograniczona i zniekształcona, ale przez sam fakt, że stanowi ona jutrzenkę innego ustroju, którego wprowadzenie oznaczałoby zupełną zmianę na scenie politycznej i społecznej, wywołuje wielkie oburzenie i odruch obronny tych, którzy w obecnym ustroju siedzą na fali wznoszącej generowanej przez jego hierarchiczną strukturę. Przywrócenie pełnej funkcji inicjatywie referendalnej otworzyło by drogę do wprowadzenia w Polsce innych instytucji demokracji bezpośredniej, a co za tym idzie, doprowadziłoby do obniżenia ciśnienia fali wznoszącej i do dekompozycji hierarchicznej struktury, prawdopodobnie w kierunku rozwiązań bardziej przestrzennych.

5. Obserwowana próba obniżenia rangi referendum jest więc zbiorową reakcją obronną generowaną przez struktury demokracji przedstawicielskiej, podobnie jak monarchiczne struktury dominujące jeszcze w XIX wieku posiadały kompleksowe mechanizmy, siłowe i ideologiczne, wypierania politycznych haseł partycypacji demokratycznej. Politycy, filozofowie, dziennikarze, socjologowie i osoby życia publicznego zniechęcające dziś do udziału w referendum dążą do obniżenia rangi instytucji demokracji bezpośredniej i wyparcia groźby dalszych jej postępów stosując na przemiennie metody jego

dezawuowania, ignorowania, ośmieszania i delegitymizowania. Zwolennicy rządów gabinetowych, czy to w monarchii czy demokracji przedstawicielskiej, znają siłę obywatelskiego poruszenia, które przekształcając się w zbiorowe żądanie wypełnia ulice i zmusza tych, którzy narzucają własną wolę z izb parlamentu do cofnięcia autorytatywnie narzuconej decyzji. Doskonałą tego egzemplifikacją jest sprawa ACTA w przełomu lat 2011/2012. Demokracja bezpośrednia jest wyższą formą społecznej partycypacji, która nie musi się za każdym razem przejawiać w żywiołowej demonstracji, ale dostarcza społeczeństwu także proceduralnych instytucji obrony i przeprowadzania swojej woli, na różnych poziomach życia społecznego.

6. Jeśli więc chcesz dokonać faktycznej zmiany wzmacniającej partycypację obywatelską i jej wpływ na życie publiczne chodź na każde referendum. Jeżeli nawet nie zmienisz prawa a demokracja przedstawicielska będzie trwała nadal, swoim głosem wzmocnisz frekwencje referendalną i wespół z innymi obywatelami, wyślesz sygnał, że coraz większe rzesze społeczeństwa domagają się trwałej partycypacji w życiu publicznym. Jeżeli jednak chcesz zostać w domu, do czego masz prawo, wiedz, że pomniejszona frekwencja referendalna zostanie politycznie wykorzystana, przez zwolenników dotychczasowego porządku, którzy uczynią z niej swój medialny dowód koronny obywatelskiej obojętności wobec osobistego stanowienia prawa i wypowiedzania się w kwestiach merytorycznych.

Autorstwo: Damian Żuchowski

Źródło: WolneMedia.net

PRZYPISY

[1] Cytaty wypowiedzi posłów oraz fragmenty zapowiedzi ustrojowych w ich programach, które przywołuje w rozdziale „Obecny system polityczny w Polsce. Genealogia i praktyka” pochodzą przede wszystkim z pracy Stefana Stępnia „Demokracja bezpośrednia w koncepcjach polityczno-ustrojowych partii w

początkowym okresie III Rzeczypospolitej Polskiej”, która ukazała się w zbiorze „Stan i perspektywy demokracji bezpośredniej we współczesnym świecie” napisanym pod redakcją Marii Marczewskiej-Rytko, wydany nakładem Wydawnictwa Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w 2011 roku.

[2] Adrian Vatter, „Demokracja bezpośrednia w Szwajcarii, historia, debaty, skutki” w. „Demokracja bezpośrednia. Szwajcarska demokracja modelem dla XXI wieku?”, Warszawa 2011, s 28-72.

[3] „Zoll o referendalnych pomysłach Dudy: Prezydent nie wziął pod uwagę Konstytucji”, <http://www.tokfm.pl/Tokfm/1,130517,18603161,zoll-o-referendalnych-pomyslach-dudy-prezydent-nie-wzial-pod.html>.

[4] Kidawa-Błońska, „Psujemy system polityczny”, <http://www.rp.pl/arttykul/1224367.html>.

[5] „Spór o emerytury w referendum. Państwo stanie na skraju bankructwa”, <http://tvn24bis.pl/pieniadze,79/spor-o-emerytury-w-referendum,570581.html>.

[6] Komisje: Środowiska (139), Budżetu i Finansów Publicznych (254), Nauki, Edukacji i Sportu (92), Rodziny, Polityki Senioralnej i Społecznej (185), Samorządu Terytorialnego i Administracji Państwowej (293) oraz Ustawodawcza (414) – 27.08.2015 r., <http://www.senat.gov.pl/transmisje/retransmisje/>.

[7] „Nie pójdę na referendum. Te pytania są trochę bez sensu”, <http://rdc.pl/informacje/nie-pojde-na-referendum-te-pytania-sa-troche-bez-sensu-posluchaj/>.

[8] Jacek Żakowski, „6 września spotkajmy się na grzybach”, <http://wiadomosci.wp.pl/kat,141202,title,Jacek-Zakowski-6-wrzesnia-spotkajmy-sie-na-grzybach,wid,17796254,wiadomosc.html>.

[9] „Łoża prasowa”, 23.08.2015,
<http://www.tvn24.pl/loza-prasowa,25,m/loza-prasowa-23-08-2015,571079.html>.

[10] „Kto odpowiada za referendum?”,
<http://wiadomosci.onet.pl/opinie/kto-odpowiada-za-referendum/>.

[11] Jan Hartman, „Hucpa”,
<http://hartman.blog.polityka.pl/2015/08/20/hucpa/>.

[12] Cezary Michalski, „Referendalne oszustwo Kaczyńskiego i Dudy”.

[13] Wojciech Przybylski, „Bojkotuję złe referenda”,
<http://publica.pl/teksty/przybylski-bojkotuje-zle-referenda-52936.html>.